

Dziedzictwo prawdy

Anita Lasker-Wallfisch

‘Dobrowolna’ deportacja do Auschwitz’

Dotarliśmy do Auschwitz-Birkenau wieczorem. Nie wiem, która to była godzina, ale na dworze było już ciemno. Zaprowadzili nas do jakiegoś baraku i kazali czekać.

Kiedy próbuję przypomnieć sobie moje pierwsze wrażenia z Auschwitz, pamiętam ciemne postacie okutane w coś, szczekanie psów, dużo krzyków i smród. Moje towarzyszki podróży i ja musiałyśmy w baraku przeczekać aż do świtu. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że tym samym pierwsza przeszkoda została pokonana. Z reguły, kiedy transport przyjeżdżał do Birkenau, czekał nań na peronie „komitet powitalny” złożony z esesmanów, którzy z miejsca dokonywali „selekcji” i decydowali o tym, kto ma być umieszczony w obozie, a kto ma zaraz pójść do gazu.

Nie zostałam poddana selekcji i dopiero później zrozumiałam dlaczego nie przywieziono mnie w standardowym, wielkim transporcie, lecz w transporcie więziennym, w stosunkowo nielicznej grupie, w której wszyscy mieli za sobą procesy i wyroki sądowe. Dzięki temu zostaliśmy zakwalifikowani jako „więźniowie kartoteczni” (Karteihäftlinge), to znaczy więźniowie zapisani w aktach. Status ten orzekał, że nie należało nas bezpośrednio wysłać do gazu, rzekomo dlatego, żeby można nas było wezwać natychmiast, gdyby tylko sąd zażyczył sobie dalszych zeznań świadków. Choć było to korzystne w momencie przybycia do Auschwitz, nie miało żadnego wpływu na sposób, w jaki nas potem traktowano, kiedy byliśmy już wewnątrz obozu. W Auschwitz lepiej było znaleźć się jako przestępca z wyrokiem niż jako niewinny człowiek.

O świcie zostałyśmy zaprowadzone do innego bloku, jak będę go w dalszym ciągu nazywać. Tam odbyła się „ceremonia powitalna”: musiałam się rozebrać, ostrzyżono mi włosy aż do skóry

i dostałam numer: 69388, który wytatuowano mi na lewym przedramieniu. To wszystko robili, jak się później dowiedziałam, nie Niemcy, lecz więźniowie wyznaczeni do pracy w tym bloku.

Nie umiałabym powiedzieć, która z tych „inicjacji” zapisała się najboleśniej w mojej pamięci. Trudno by mi było rozstrzygnąć. Byłam sparaliżowana strachem i złymi przeczuciami.

Tatuowanie nie było doświadczeniem przyjemnym, jeśli się zważy, przy pomocy jak prymitywnych narzędzi to było dokonywane. Wyglądało to jak obsadka pióra, tyle, że zamiast stalówki narzędzie to kończyło się grubą igłą. Oczywiście, że bolało. Rana krwawiła, a potem miejsce to napuchło. Prawdopodobnie doszło do infekcji. Ani przez chwilę nie sądziłam, żeby to narzędzie było kiedykolwiek dezynfekowane. Miałam jednak szczęście, ponieważ dziewczyna, która mnie tatuowała, miała przyzwoity charakter pisma. Cyfry, które mam teraz na lewym przedramieniu, nie są ani za duże, ani zbyt koślawe, jak to widywałam u innych. Być może doświadczeniem najbardziej traumatycznym było jednak ostrzyżenie głowy „na zero”. Poczułam się zupełnie naga: teraz łatwo można mnie było zranić. Stałam się nikim. W przeciągu kilku minut zostałam pozbawiona śladu ludzkiej godności i przestałam się odróżniać od kogokolwiek.

Podczas tej „inicjacji” więźniarki wykonujące powierzone im zadanie bombardowały mnie pytaniami. Chciały wiedzieć, co się dzieje poza obozem. Dziewczyna, która się mną zajmowała, zapytała mnie, jak się nazywam, skąd jestem, jak długo jeszcze wojna będzie trwała, co robiłam przed aresztowaniem. Powiedziałam jej wszystko, co wiedziałam, ale nie było tego wiele, bo przecież „na wolności” nie byłam już sporo czasu, zanim przywieziona zostałam do Birkenau. Zapytała mnie też, czy dam jej moje buty, ponieważ i tak mi je zabiorą. Oczywiście zgodziłam się, zdjęłam moje buty i dałam jej. Nie pamiętam, co mnie podkusiło, żeby jej powiedzieć, że gram na wiolonczeli. W warunkach, na które skazane byliśmy obydwie, mogła się to wydać informacja niepotrzebna, ale powiedziałam jej to. Jej reakcja była zaskakująca. „To fantastycznie”, powiedziała i złapała mnie za rękę. „Stań z boku. Uratujesz się. Tylko zaczekaj tu chwilkę”. Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi, ale zrobiłam to co mi powiedziała. Stałam z boku z ostrzyżoną głową, ściskając w garści szczoteczkę do zębów - co samo w sobie było wielkim przywilejem, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałam.

Stałam i czekałam, nie wiedząc na co. W międzyczasie blok opustoszał i zostałam sama. Rozejrzałam się wokoło i zobaczyłam prysznicę pod sufitem. Wszystko to wyglądało tak jak

wyobrażałam sobie komorę gazową. Nie wiedziałam, że istotnie znajduję się w „saunie” czyli w obozowym bloku łaźnia-odwyszalnia. Byłam pewna, że nadszedł właśnie moment, do którego próbowałam się przygotować przez długie, męczące noce w więzieniu. Ale znów wszystko okazało się inne od tego czego oczekiwałam, myśląc logicznie. W ciągu tych pierwszych dni nie miałam jeszcze pojęcia, jak naprawdę funkcjonują komory gazowe. Wiele więcej miałam się jeszcze później o tym dowiedzieć. A teraz jedyną rzeczą, która się zdarzyła było to, że jakaś elegancka pani w płaszczu z wełny wielbłądziej i w chustce na głowie weszła do bloku. Nie wiedziałam, kto to mógł być: strażniczka czy więźniarka? Była ubrana tak wytwornie, że byłam zaskoczona. Pozdrowiła mnie i przedstawiła się jako Alma Rosé. Była zachwycona, że jestem wiolonczelistką. Zapytała, skąd jestem, u kogo uczyłam się gry na wiolonczeli itd. To wszystko wydało mi się snem. Ostatnią rzeczą, jaką mogłam sobie wyobrazić podczas transportu do Auschwitz było, że ktoś mnie zapyta, czy umiem grać na wiolonczeli. Trzeba pamiętać, że stałam tam naga, trzymając w garści szczoteczkę do zębów. Alma ucieszyła się z mojego przybycia i znów usłyszałam słowa: „uratujesz się”. Powiedziała mi, że będę musiała pójść do specjalnego bloku dla odbycia kwarantanny. Ale powiedziała też, żebym się nie martwiła, że ktoś wkrótce po mnie przyjdzie i zrobią mi „przesłuchanie”.

Blok, w którym przechodziło się kwarantannę, był dla wielu ludzi pierwszym i ostatnim portem docelowym. Warunki tam panujące były straszne. Spało się na półkach lub „kojach”, jak je tam nazywano, na których leżałyśmy ściśnięte jak sardynki w puszcze. Już nie pamiętam, ile osób musiało spać w jednej takiej koi. W każdym razie o wiele za dużo.

Większość czasu zajmowało liczenie nas podczas apeli (Zählappelle). Oznaczało to stanie przed blokiem w długich pięcioszeregach, na deszczu czy mrozie, w nieodpowiednim ubraniu, tylko po to żeby zostać policzonym. Nigdy nie rozumiałam niemieckiego zamiłowania do liczenia nas. Skoro chodziło im o zabicie maksymalnej ilości ludzi - po co było nas liczyć? Ale byłyśmy liczone i ciągnące się w nieskończoność apele były same dla siebie torturą. Nie wolno się było ruszyć, a ponieważ proceder ten trwał niekiedy godzinami, łatwo sobie wyobrazić co to znaczyło dla więźniów, którzy prawie bez wyjątku chorowali na dyzenterię. Mówiąc dosadnie: wiele z nas stało tam ze strasznymi bólami brzucha, a kał ciekł po nogach. Ludzie byli w stanie agonalnym. Jak łatwo było potem wrzeszczeć i określać nas epitetem „śmierdzące świnie”. Trudno opisać, jak okropny był nasz stan.

W kojach do spania było ważne, żeby nie leżeć przy ścianie, tylko jak najbliżej zewnętrznej krawędzi. Bo kiedy się leżało przy ścianie lub w środku, wstanie w nocy i wyjście do tzw. toalety było prawie niemożliwe. Na szczęście nie musiałam zostać w bloku kwarantann zbyt długo.

Muzyka dla piekła

Pewnego dnia przyszedł oficer SS nazwiskiem Hössler i zapytał o wiolonczelistkę. Zaprowadził mnie do bloku muzycznego i tam zobaczyłam znów Almę Rosé, a obok niej kilkanaście kobiet z instrumentami.

To była orkiestra obozowa. Nadszedł czas mojego przesłuchania. Alma dała mi jakąś wiolonczelę do ręki i poprosiła, żebym coś zagrała. Chciałabym uprzytomnić komukolwiek, kto to czyta, że w chwili, o której tu mowa, nie widziałam wiolonczeli przez prawie dwa lata. Poprosiłam Almę, żeby mi dała kilka minut na oswojenie się z instrumentem, żebym mogłam chwilę poćwiczyć. Jeśli dobrze pamiętam, zagrałam lub próbowałam zagrać wolną część z jednego z koncertów Luigiego Boccheriniego. Kiedy skończyłam, pozwolono mi usiąść i dołączyć do orkiestry. Nie było właściwie żadnego niebezpieczeństwa, żebym mogła nie zaliczyć tego przesłuchania, ponieważ do czasu mojego pojawienia się nie było w orkiestrze ani jednego instrumentu grającego w niskim rejestrze. Było kilka skrzypiec, kilka mandolin, gitar i fletów oraz dwa akordeony. Na jednym z nich grała dziewczyna z Holandii imieniem Flora, na drugim Greczynka Lilly Assayal, która – jak dowiedziałam się tego wiele lat później – była pierwszą nauczycielką fortepianu Murraya Perahii. Utworem, który wykonałyśmy dla sprawdzenia mojej umiejętności grania w orkiestrze, był *Marche militaire* Schuberta. Partia, którą miałam grać, nie sprawiła mi żadnych trudności. W każdym razie Alma bardzo się ucieszyła, że w orkiestrze był teraz również rejestr niski.

W ten sposób zaczęła się moja „kariera” jedynej wiolonczelistki w orkiestrze – może raczej „kapeli” obozowej - oraz moje życie w tej małej społeczności. Następnym tego stały się bliskie przyjaźnie i koleżeństwa, ale w równej mierze i nienawiści. Spróbuję jeszcze później opisać tę pstrokatą zbieraninę, jaką była ta nasza kapela.

Opuściłam blok kwarantanny dzień po moim „przesłuchaniu” i przeniosłam się do bloku muzycznego. To wszystko było już tak dawno temu, że pamiętam tylko rzeczy najistotniejsze oraz te, które były dla mnie wtedy ważne. Ale nigdy nie zapomnę pierwszego wieczoru, kiedy spotkałam więźniarki, z którymi przyszło mi współżyć aż do dnia wyzwolenia. Dzień ten był jednak tak bardzo odległy; żadna z nas tak naprawdę nie wierzyła, że kiedykolwiek nadejdzie.

Osoby, które pamiętam najlepiej, to Hélène lub Helenka, Francuzka, „la petite” (mała), jak ją nazywałyśmy, oraz Hélène, „la grande” (wielka) z Belgii, która była koncertmistrzem naszej orkiestry, Violetta, skrzypaczka i Else, obydwie z Francji. Raz jeszcze byłam wdzięczna, że znam język francuski, ponieważ dzięki temu mogłam zostać zaakceptowana przez grupę francuskojęzyczną, podobnie jak i przez grupę niemieckojęzyczną, w której zaprzyjaźniłam się z Helgą.

Siadłyśmy w kręgu i byłam „przesłuchiwana” ponownie. Zwykle pytania: co wiedziałam o przebiegu wojny, co robiłam przed wojną itd. Ku mojemu zdumieniu Hélène „la petite” zapaliła papierosa i podała mi go. To był od wielu miesięcy mój pierwszy papieros! Co za błogie uczucie. Zaciągałam się papierosem raz za razem i mówiłam, mówiłam. Dopiero później, kiedyśmy się już z Hélène na dobre zaprzyjaźniły, ona mi powiedziała, jak była poruszona, kiedy paliłam sobie tego papierosa trzymając go w dłoni, bez podania go kolejnej osobie. Wtedy nie chciała mi nic powiedzieć, byłam przecież „nowa”. Wkrótce dowiedziałam się, że papierosy to był wielki luksus i zmieniłam styl palenia. „Organizowałyśmy” papierosy płacąc za nie chlebem. A chleb był bardzo cenny (mało powiedziane), nic zatem dziwnego, że Helenka nie była zachwycona tym moim pierwszym „występem”.

W sposób absurdalny i irracjonalny miałam wrażenie, że w obozie było więcej swobody, jakiej nie miałam już od dawna. Nagle było z kim rozmawiać, nie byłam przez cały dzień zamknięta w małej celi. Przedtem przez wiele miesięcy byłam przykuta do miejsca, a jednostajność dni przerywały tylko półgodzinne spacerzy z chodzeniem w kółko w milczeniu, z rękami do tyłu. Ale ta relatywna swoboda była tylko pozorna. Obóz koncentracyjny to był ostatni etap, nieodwołalny. Z tej pułapki można było wyjść tylko przez komin.

Kiedyś w telewizji zostałam znieacka zapytana: „Czy kiedy była pani w Auschwitz, nie umierała pani przez cały czas ze strachu?” Odpowiedziałam: „Nie”. Często potem o tym myślałam

i jedyne wyjaśnienie, jakie znajduję, to to, że strach jest podobny do bólu. Jeśli żyje się z nim zbyt długo, człowiek się do niego przyzwyczaja. Strach staje się tłem, które przestaje się zauważać. Większa część naszego życia składała się wtedy ze strachu i każdy musiał sobie sam z tym radzić.

Kiedy siedzę tu i piszę, coraz bardziej uświadamiam sobie, że po tak długim czasie nie umiem już dać pełnej relacji o tym, czym było Auschwitz-Birkenau. Było 5000 niemieckich obozów koncentracyjnych; Auschwitz, Bergen-Belsen, Buchenwald i Dachau to były tylko te najbardziej znane. Nie sądzę jednak, żeby się między sobą zasadniczo różniły.

Jeśli jakieś różnice były, dotyczyły one przede wszystkim wielkości i metody mordowania więźniów. Obozy były usytuowane najczęściej w pobliżu fabryk amunicji, żeby mieć do dyspozycji taną siłę roboczą. Po wojnie najwięcej się mówiło o Auschwitz i o Belsen. Obóz w Bergen-Belsen był wyzwolony przez Armię Brytyjską. Brakuje słów, żeby opisać to, co tam zastano w momencie wyzwolenia. Ale powstał film *A painful reminder (Bolesne memento)*, znany też pod nazwą *Memory of the camps (Pamięć obozów)*, który dobrze te rzeczy dokumentuje.

Auschwitz było największym z obozów koncentracyjnych i niezrównanym, jeśli chodzi o technikę mordowania ludzi i pozbywania się zwłok.

(...)

Stosunkowo późno, bo dopiero w 1943 r. zostałam przywieziona do Birkenau. Dlatego nie byłam świadkiem tych strasznych warunków, w jakich obóz ten powstawał. Auschwitz-Birkenau to była przede wszystkim zaprogramowana fabryka śmierci. Już wiele książek o tym obozie napisali ludzie o sprawniejszym piórze niż moje. Kto chce się o Auschwitz dowiedzieć więcej, łatwo znajdzie odpowiedni materiał. Najlepsze, co mogę zrobić ja, to po prostu opowiedzieć o moim życiu Tam.

Moje życie Tam było różniło się od tego, co stało się losem większości więźniów tego obozu. Z tego prostego powodu, że szczęśliwie trafiłam do istniejącej już orkiestry obozowej. Pomijając oczywiste korzyści, myślę, że najważniejsze było to, że chociaż głowę miałam ogoloną i na przedramieniu wytatuowany numer, nie straciłam do końca mojej tożsamości. Nie miałam nazwiska, ale można mnie było zidentyfikować. Można się było do mnie zwrócić. Byłam wiolonczelistką. Nie zginęłam w szarej masie bezimiennych, nieodróżnialnych ludzi. Nigdy wtedy o tym nie myślałam, ale dziś jestem przekonana, że w trudny do określenia sposób to właśnie

pomogło mi zachować odrobinę ludzkiego poczucia godności.

Jednak okoliczności – życie obozowe - były dla nas wszystkich takie same. Dymiące kominy, widoczne dla każdego, były ciągłym *memento*, że chodzi o obóz zagłady, a nie tylko obóz koncentracyjny. Bywało się wprzęgniętym do pracy, na przykład do pracy w jednej z fabryk w pobliżu obozu, ale była to tylko egzystencja tymczasowa i, dopóki nie zdarzy się cud, nie było najmniejszego powodu do przypuszczania, że wyjdzie się z obozu żywym. A przecież póki życia, póty nadziei. Może „nadzieja” nie jest słowem właściwym, ponieważ, czy tak, czy tak, była to sytuacja bez wyjścia, jeśli nie „przez komin”. Mimo to, powodowana instynktem walka o przeżycie trwała nadal. Myśl ta prowadzi mnie na powrót do orkiestry, a zwłaszcza do Almy Rosé, która była tego instynktu najlepszym przykładem.

Jedną z niezwykłych osobliwości bloku muzycznego było to, że Żydzi i „Aryjczycy” mieszkali razem. Jedynym warunkiem było to, żeby się wiedziało choć trochę, jak trzymać instrument, nie ważne jaki, w rękach, czy jak na nim grać. Każdy pretekst był dobry, żeby spróbować uratować tylu ludzi, jak to możliwe. Żeby wpuścić ich do tego względnego „nieba”. W zespole były również dziewczyny, które w ogóle nie umiały grać. Ich zadaniem było kopiowanie nut, ponieważ wszystkie utwory, które grałyśmy, trzeba było opracować i zorkiestrować na zespół złożony z dziwnych instrumentów. To były *Notenschreiberinnen*, kopistki nut.

Naszym głównym zadaniem było wychodzenie każdego ranka i każdego wieczora do bramy głównej i granie tam marszów dla tysięcy więźniarek, które pracowały na zewnątrz obozu, w miejscach takich jak I.G. Farben¹ *inter alia*. Wymagane było, żeby kolumny więźniów maszerowały w ordynku i noga w nogę, a naszym zadaniem było dostarczanie muzyki, która miałyby to wesprzeć. Siedziałyśmy tam i grały w pogodę i w niepogodę, czasem w temperaturze poniżej zera, nieodpowiednio ubrane. Ulokowane w tym miejscu, byłyśmy niekiedy świadkami rozmaitych zdarzeń. Na przykład, więźniarki, które na swoje nieszczęście zostały przyłapane ze swoimi „skarbami”, które udało im się „zorganizować” w nadziei, że SS ich nie zrewiduje, musiały uklęknąć i zjeść to, z czym ich przyłapano. Kiedyś widziałam kobietę, która musiała zjeść paczkę papierosów.

¹ Dla więźniów zatrudnionych w IG Farben założono w październiku 1942 podobóz Monowitz. Więźniowie musieli też pracować poza terenem obozu w firmie Union Werke.

Typowy dzień w naszym „komando”, jak byliśmy nazywane, wyglądał następująco. Pobudka na godzinę przed świtem. Kilkoro z nas miało „dyżur”: musiałyśmy wynieść pulpity i stołki „nach vorne”, do bramy obozowej. Kiedy już to zrobiliśmy i wróciłyśmy do bloku, musiałyśmy stanąć do apelu. Dzięki naszej uprzywilejowanej pozycji apel ten odbywał się zimą wewnątrz bloku. Musiałyśmy ustawić się w pięcioszeregu i zostać policzone.

Po tym dostawałyśmy coś ciepłego do picia. Tego napoju nie można było zidentyfikować jako coś konkretnego, ale było to przynajmniej trochę ciepłe i jadłyśmy do tego cokolwiek, co udało się nam zaoszczędzić z poprzedniego wieczoru. Potem był wymarsz do głównej bramy, znów w pięcioszeregu. Zasiadałyśmy i zaczynałyśmy grać nasze marsze dla wychodzących z obozu komand. „Akompaniowali” nam kapo obozowi, SS i psy. Kiedy wszyscy, którzy mieli wyjść, wyszli już do pracy, wracałyśmy do bloku i te same dziewczyny, które wносиły pulpity i stołki, musiały je teraz wnieść z powrotem do środka. Potem zaczynałyśmy próbę.

Alma Rosé była pod każdym względem liderem naszej „orkiestry”. Była córką Arnolda Rosé, słynnego skrzypka, który przez wiele lat był koncertmistrzem Filharmoników Wiedeńskich. Miał też swój słynny kwartet smyczkowy. Jej matka była siostrą Gustawa Mahlera. Cała rodzina była wybitnie uzdolniona muzycznie. Alma pięknie grała na skrzypcach. Ale cechą wyróżniającą ją, była jej silna osobowość. Okazywałyśmy jej najwyższy szacunek bo ona wprost wymuszała respekt od wszystkich, nawet od oficerów SS. Jej wysoka pozycja była zupełnie bezprecedensowa. Życie Almy w Auschwitz rozpoczęło się od umieszczenia jej w niesławnym bloku numer 10, w którym profesor doktor Carl Clauberg, ginekolog, przeprowadzał eksperymenty sterylizacyjne. Kiedy się okazało, że Alma jest słynną skrzypaczką, została „uratowana” i objęła to stanowisko, na którym ją zastałam.

Jeśli ktokolwiek musiał kiedykolwiek sprostać jakiemuś „wyzwaniu” była to Alma. W nadzwyczaj trudnych warunkach, mając przed sobą niezwykłą kolekcję instrumentów, na których grała niepospolita zbieranina „muzyków” miała poprowadzić orkiestrę. Na palcach jednej ręki można było policzyć te, które w tym zespole można było w ogóle nazwać muzykami. Wśród instrumentalistek najbardziej zaawansowane były Fania Fénelon (nie mylić z Fanny Birkenwald) oraz Lilly Assayal. Mając do dyspozycji takie osoby Alma postanowiła stworzyć prawdziwą orkiestrę, w której tylko najwyższy poziom był akceptowany, w którym sama wzrastała. W rzeczywistości znaczyło to tyle, że Alma musiała ćwiczyć praktycznie z każdym, nuta po nucie,

i że temu zadaniu poświęciła się z ferworem, który w tamtych okolicznościach wydawał się niekiedy absurdalny. Trzeba pamiętać, że na zewnątrz naszego małego świata komory gazowe działały nieustannie.

Alma była niezwykle skrupulatna i surowo karciła nas za granie fałszywych nut. Kiedyś musiałam przez tydzień na kolanach zmywać podłogę w naszym bloku – za złe granie. Właśnie wróciłam z rewiru gdzie cudownym sposobem udało mi się wyzdrowieć z tyfusu. Był to rodzaj tyfusu, który w tym czasie szalał w obozie, znany pod nazwą tyfus plamisty. Był przenoszony przez wszy. Jeśli miało się szczęście wyleczenia się z niego, bądź uniknięcia selekcji, która była regularnie przeprowadzana na rewirze, było się bardzo wycieńczonym, przez jakiś czas miało się słaby wzrok i słaby słuch. Wróciłam do bloku muzycznego w opłakanym stanie. Mimo to zostałam bezwzględnie ukarana przez Almę za moje niedokładności w graniu.

W tym miejscu muszę dodać, że kiedy leżałam na rewirze, byłam przez większość czasu nieprzytomna. Zachowałam w pamięci tylko niejasny obraz esesmanów stojących u końca mojej koi. Ktoś powiedział: „to ta wiolonczelistka”. Przeszli dalej obok mojej koi. Zwykła procedura selekcji na rewirze polegała na tym, że wszystkie więźniarki musiały wyczołgać się ze swoich koi i stać nago przed kimś, kto przeprowadzał selekcję. Która była zbyt słaba i chora, żeby wstać, była stracona. Ja bym z pewnością również „przepadła”, bo nie mogłam nawet ustać na nogach.

Po jakimś czasie pobytu na rewirze, nie pamiętam jak długim, wróciłam do bloku muzycznego. Źle słyszałam, źle widziałam, źle grałam. A fałszowanie nie było tolerowane. Dlatego musiałam za karę zmywać podłogę. Nie powiem, żebym przez to lubiła Almę bardziej. Prawdę mówiąc, byłam wściekła i nienawidziłam jej. Ale, choć to może wydać się dziwne, mam dzisiaj dla postawy Almy najwyższy podziw. Nadal nie wiem, czy jej postępowanie było przemyślane, czy instynktowne. Ale ze swoją żelazną dyscypliną potrafiła odwrócić naszą uwagę od tego, co działo się poza naszym blokiem, od dymiących kominów krematoriów i od nieopisanej nędzy życia w obozie, a skupić się na nucie „F”, która powinna być „Fis”.

Być może to był jej sposób na zachowanie zdrowia psychicznego i przez wciągnięcie nas do tej szalonej pogoni za perfekcją naszych wykonania tej tandety, którą musiałyśmy tam grać, pomoc w zachowaniu również naszego własnego zdrowia psychicznego. Miałyśmy wobec Almy wielki dług. Która z nas przeżyła, zawdzięczała to przede wszystkim jej. Nie tolerowała niczego przypadkowego

a najwyższą nagrodą, kiedy grałyśmy coś dobrze, było powiedzenie: „to podobałoby się także mojemu ojcu”. Często o nim mówiła i wielokrotnie powtarzała, że gdyby którakolwiek z nas przeżyła, powinnyśmy próbować odnaleźć go w Londynie i opowiedzieć mu o naszej orkiestrze. Cieszę się, że mogłam spełnić to jej życzenie. Spotkałam Arnolda Rosé, kiedy dotarłam już do Londynu. Rozmawialiśmy o Almie, ale starałam się go maksymalnie oszczędzać. Jej ojciec zmarł wkrótce potem. Alma najwidoczniej nie myślała, że ma większe szanse na przeżycie mimo jej stosunkowo uprzywilejowanej pozycji. W jej dyscyplinarnym stosunku do nas nigdy nie było lęku czy chęci uniknięcia nieprzyjemnych reperkusji, gdybyśmy grały nie tak, jak powinnyśmy. Była dumną damą, pełną poczucia godności, traktującą wszystkich z dystansem, bez względu na to, czy miała do czynienia z nami, czy z SS. Jestem pewna, że była respektowana nawet przez Niemców.

Oprócz naszych dwukrotnych występów dziennie przy bramie obozowej, miałyśmy jeszcze inne funkcje do spełnienia. Choć trudno w to uwierzyć, dawałyśmy koncerty, najczęściej w niedzielę, czasem pod gołym niebem, pomiędzy odcinkami A i B, czasem na rewirze. Poza tym musiałyśmy być zawsze gotowe do grania dla kogokolwiek z personelu SS, kto by przyszedł do naszego bloku, żeby odpocząć po „wyczerpującej pracy” decydowania o tym, kto ma umrzeć zaraz, a kto nie zaraz. Podczas jednej z takich okazji grałam *Marzenie (Träumerei)* Schumanna dla osławionego lekarza obozowego doktora Mengele.

Nasz repertuar składał się z różnych wiązanek melodii, utworów, które były podówczas szlagierami w Niemczech, fragmentów operetek. Do utworów często przez nas wykonywanych należał *Czardasz* Montiego, *Melodie cygańskie*, *12 minut z Peterem Kreuderem*, *Fale Dunaju*, *Opowieści Lasku Wiedeńskiego*, arie z *Rigoletta*, *Carmen* i *Madame Butterfly*, różne utwory Dvořáka, *Marsze wojskowe* itd. Nie umiem przypomnieć sobie wszystkich tych, które grałyśmy, ale, jak widać, był to niezły galimatias. Nut tych utworów dostarczało SS w postaci wyciągów fortepianowych, które trzeba było rozpisać na głosy orkiestrowe. Umożliwiało to zatrudnienie w orkiestrze „kopistek nut”, które na niczym nie umiały grać, ale którym przysługiwało to samo „odroczenie”, jak aktywnym członkiniom orkiestry.

Muszę teraz opowiedzieć o nadzwyczajnym zbiegu okoliczności, którego efektem było to, że moja siostra Renata i ja znalazłyśmy się znów razem.

Dla przypomnienia: Renata i ja zostałyśmy oddzielone od siebie w więzieniu we Wrocławiu, kiedy zabrano ją z naszej wspólnej celi i wywieziono do aresztu w Jaworze. Żadna z nas nie myślała, że się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy. Nasze ponowne spotkanie zawdzięczamy parze butów ze świńskiej skóry. Moja mama kupiła mi je, kiedy byliśmy jeszcze wszyscy razem w rodzinie. Te buty znaczyły dla mnie wiele. Ale któregoś dnia coś na nie wylałam i buty zniszczyły się. Mama bardzo się gniewała. Jedynym ratunkiem było wysmarowanie ich na czarno. Kiedy były czarne, wyglądały jednak dość okropnie. Kupiłam więc czerwone sznurowadła z pomponikami, żeby dać im wygląd nieco weselszy. Co ważniejsze, teraz buty zrobiły się łatwo rozpoznawalne. Jak już powiedziałam, przywieziono nas do Birkenau, ogolono nam głowy, wytatuowano numery, musiałyśmy się pozbyć naszych ubrań. Przy tej okazji oddałam moje buty dziewczynie, z którą rozmawiałam podczas tych wszystkich zabiegów. Chciała moje buty mieć dla siebie, a ponieważ i tak miały mi być odebrane, nie widziałam powodu, żeby tych butów nie dać właśnie jej. Nie przeczuwałam, jakie ta transakcja może mieć konsekwencje. Byłam w moim bloku zaledwie tydzień, może dwa, kiedy ta sama dziewczyna przybiegła i poprosiła mnie, żebym udała się z nią szybko do bloku przyjąć. Powiedziała tylko: „Zdaje się, że jest tu twoja siostra”. Pobiegłam z nią i rzeczywiście: to była moja siostra. Coś niewiarygodnego! Trzeba wziąć pod uwagę ogrom tego obozu, żeby zdać sobie sprawę, cóż to był za przypadek! Oto co się zdarzyło: Moja siostra została przywieziona transportem z więzienia w Jaworze i była poddana tej samej procedurze „powitalnej”, co ja niewiele wcześniej. Renata zauważyła na nogach dziewczyny buty z czerwonymi sznurowadłami i zapytała ją, skąd je ma. Kiedy dowiedziała się, że dziewczyna dostała je od kogoś, kto tu niedawno został przywieziony i kto jest teraz muzykiem w orkiestrze obozowej, Renata od razu wiedziała, że to mogłam być tylko ja. Tak oto odnalazłyśmy jedna drugą w tym nieskończonym chaosie. Był to istny cud. Biedna Renata miała za sobą straszne dni, ale teraz mogłam jej trochę pomóc. Jawor z pewnością nie był wysłany różami, ale w porównaniu z Auschwitz-Birkenau mógł się jej wydać rajem.

Bycie w obozie razem było dla nas ważne – było jeszcze jednym bodźcem do przeżycia: jedna dla drugiej. Renata w Auschwitz jednak prędko podupadła. Nie poszczęściło się jej jak mnie. Musiała przejść przez kwarantannę i musiała w tamtym bloku zostać przez jakiś czas.

Mówiłam już o warunkach tam panujących. Były straszne. Renata w krótkim czasie popadła w całkowitą degrengoladę. To było przerażające. Wyglądała źle i była w stanie ogólnym tak złym, że nie pozwolono jej wchodzić do naszego bloku. Przychodziła więc i stawała na zewnątrz,

czekając, aż jej przyniosę trochę zupy lub cokolwiek, co mogłam jej dać. Na nogach porobiły się jej otwarte rany, które nie chciały się gonić. Ich przyczyną była awitaminoza, jak sądziłyśmy. W końcu nabawiła się tyfusu (plamistego i brzuszego), i wydawało się, że nic jej już nie może pomóc. Przyznaję, że chwilami miałam nadzieję, że umrze spokojnie i jej męczarnia się skończy. To było okropne widzieć, jak ginie w oczach.

Nie wiem jak, ale jednak wyzdrowiała z tego tyfusu i opuściła rewir, co prawda wyglądając gorzej niż wtedy kiedy ją tam wzięto. Były obawy, że znów zostanie wzięta do rewiru. Wtedy zdecydowałam się na desperacki krok. Uznałam, że nie mam nic do stracenia i udałam się na rozmowę z komendantką naszego obozu, Frau Mandel. Powiedziałam jej, że w obozie jest moja siostra i zapytałam, czy byłoby możliwe, żeby Renata została gońcem, Läuferin. Było to w obozie bardzo dobre stanowisko; oznaczało stanie przy bramie wejściowej do obozu i gotowość do pobiegnięcia z wiadomością do któregoś z bloków czy gdziekolwiek na terenie całego obozu. Ale oznaczało to przede wszystkim trochę lepsze racje żywnościowe i przy tej okazji może lepszy kąt do spania. Kiedy wybierałam się do Mandel, były dwie rzeczy, które przemawiały na moją korzyść. Jedna to ta, że mówiłam po niemiecku, druga ta, że Mandel była osobiście zainteresowana naszą kapelą. Miałam też pewność, że ona mnie za moją śmiałość nie wygoni (w braku lepszego słowa), ponieważ byłam niezastąpiona jako jedyna wiolonczelistka w całym obozie.

Myślałam, że najgorsze, co może mi się przydarzyć, to to, że zignoruje moją prośbę. Ale stało się inaczej: choć to się może wydać nieprawdopodobne, była ona dla mnie prawie uprzejma. Chciała tylko wiedzieć, w którym bloku jest teraz moja siostra. I rzeczywiście, wkrótce po tej rozmowie Renata miała zacząć pracować jako goniec. Naturalnie, martwiłam się, że Mandel może zmienić zdanie w momencie, kiedy zobaczy Renatę, której wygląd nie był teraz korzystny. Ale nic takiego się nie zdarzyło, a dla Renaty była to różnica pomiędzy życiem i śmiercią.

Po jakimś czasie odzyskała trochę sił, dostała lepsze rzeczy do ubrania, mogłyśmy się częściej widywać. Największą korzyścią związaną z zajęciem gońca było to, że Renata docierała do wszystkich części obozu, co dawało jej duże możliwości „organizowania”. Organizowanie - to był obozowy sposób określania handlu wymiennego. Chyba bez przesady mogę powiedzieć, że wiolonczela uratowała nie tylko moje życie, ale również życie mojej siostry.

Jakoś dawałyśmy sobie radę. To dziwne, ale kiedy tu siedzę i próbuję przypomnieć sobie to, o czym przez tyle lat próbowałam zapomnieć, jedna rzecz wraca stale w moich myślach: błoto. Wstrętne, żółte błoto, które pojawiała się, skoro tylko zaczynało padać. Ziemia musiała tam być gliniasta, błoto lepiło się cały czas do obuwia. A mieć zabłocone buty było zabronione, „verboten”. Powodowało to niekończące się zmagania o utrzymanie ich w czystości.

Im więcej o tym myślę, tym bardziej widzę, że nie potrafię życia w Auschwitz-Birkenau opisać w sposób właściwy. Jednak niektóre słowa, obrazy wracają i domagają się przekazania informacji o niektórych składnikach tego piekła na ziemi: smród palonych ciał, dym, głód, strach, rozpacz, krzyki, „muzułmanie” (w języku obozowym: ludzie wycieńczeni.). A jednak mimo tej całej beznadziei tliło się tam jakieś życie.

Auschwitz miało jeszcze swoją drugą stronę, o której mało się mówi, ponieważ nie jest ona może taka ważna, choć musi wydać się bardziej niepojęta wobec horroru znaczonego słowem Auschwitz. Mam na myśli ogromne bogactwo skumulowane tam na obszarze kilku kilometrów kwadratowych. Co robisz, kiedy ktoś puka do twoich drzwi i mówi ci, że w ciągu godziny masz się przygotować do opuszczenia swojego domu i masz wziąć ze sobą tylko to, co możesz unieść. Były różne odmiany tego tematu, który jednak pozostawał zasadniczo ten sam. Co robisz w rozpaczce? Zabierasz ze sobą w pośpiechu rzeczy najpotrzebniejsze: ciepłe ubranie, biżuterię (jeśli jeszcze jakaś została), i rzeczy osobiste, z którymi jesteś związana, lub które mogą ci być kiedyś potrzebne, Bóg wie kiedy. W efekcie w ciągu trwania wojny tysiące, miliony ludzi zostało skupionych na stosunkowo małym obszarze, przynosząc ze sobą z dóbr tego świata to, co zdało się im najcenniejsze. Były wśród tego również instrumenty muzyczne. Jak sądzę, w ten właśnie sposób dostała mi się w Auschwitz wiolonczela.

Jak już mówiłam, wchodząc do obozu każdy był odzieraný ze wszystkiego, co tylko ze sobą miał. I wszystkie te cenne rzeczy były najpierw sortowane, a potem gromadzone w wielkim magazynie, który w języku obozowym nazywał się „Kanada”. Być może dlatego, że Kanada była uważana za bogaty kraj. Praca w komandzie „Kanada” dawała ogromne możliwości „organizowania” wszystkiego, co cenne lub użyteczne. Była rajem dla wszelkiego rodzaju „organizowania”. Walutą obiegową w obozie był chleb, ale nie było niczego, czego nie można by znaleźć w „Kanadzie”. Stamtąd pochodził mój czerwony sweter. Kiedy dotarł do moich rąk, był to ładny, ciepły sweter, który kosztował mnie wiele kromek chleba. Był zrobiony z wełny angorskiej,

która z nieznanego powodu też była w obozie zabroniona. Ale udało mi się go uzyskać i sweter ten nosiłam, nic sobie z tego zakazu nie robiąc, aż do wyzwolenia. Naturalnie nosiłam go tak, żeby go nie było widać. Mam go nadal jeszcze, ten sweter wytarty i poszarpany, jedna z niewielu „pamiątek” stamtąd. Jego opis wymagałby całych tomów. (Jest on teraz eksponatem w Imperial War Museum w Londynie w stałej części wystawy, pt. „BELSEN 1945”).

Auschwitz był mikrokosmosem. Jeśli znało się odpowiednie osoby i miało zapas chleba, można było dostać wszystko. Były tam osoby, jak na warunki obozowe, bardzo „bogate”. Na przykład, blokowe każdego bloku. Mogły one dowoli ludźmi dysponować. To one zajmowały się pobieraniem z kuchni chleba dla bloku i rozdzielaniem go. Bochenki chleba były krojone na cztery części. Cóż było łatwiejszego niż ukroić jedną porcję trochę mniejszą i zatrzymać sobie resztę? To stąd brał się chleb funkcjonujący potem jako waluta wymienna.

W obozie panowała ściśle przestrzegana hierarchia. I to ona rządziła niemal niepodzielnie. Bycie kapo lub blokową oznaczało przynależność do „arystokracji” obozowej. Nadużywanie władzy przez niektórych spośród nich było legendarne. Ale były też znaczące wyjątki. Jednym z nich była Belgijka, Mała Zimetbaum, którą wszyscy podziwiali. Była w obozie główną tłumaczką. I była po prostu dobrym człowiekiem. Została przyłapana razem ze swoim przyjacielem, Polakiem, Edkiem Galińskim, na próbie ucieczki z Auschwitz. Nie udało się im uciec daleko i przyprowadzono ich z powrotem do obozu. Musiałyśmy wszystkie zgromadzić się, żeby asystować przy egzekucji Mali. Miała zostać na oczach wszystkich powieszona. Ale dokonała ostatniego bohaterskiego czynu: przemyciła na miejsce straceń żyłkę, którą przecięła sobie żyły, obrzucając wyzwiskami swoich oprawców. Jedną krwawiącą ręką wymierzyła policzek jednemu z esesmanów. Zawieszono ją na taczkach do krematorium i tam zastrzelono.

Blokową naszego bloku była Polka Zofia Czajkowska. To ona była dyrygentką przed przybyciem Almy Rosé, to znaczy również przed moim przybyciem do Auschwitz. Miałyśmy poza tym także „sztubową”. Nazywała się pani Funia. Dobrze ją pamiętam. Musiała mieć paraliż twarzy, bo całe jej usta były wykrzywione w jedną stronę. Rozdzielała zupę. Jeszcze dzisiaj słyszę jej głos: „Po zupę, dziewczynki”. Jej twarz i jej głos wryły mi się w pamięć.

Naturalnie nie zawsze panowała w naszym bloku harmonia, byłyśmy zbyt dużą zbieraniną. Różniłyśmy się narodowościami i językami, jakimi mówiłyśmy. Jak już wspomniałam w jednym

bloku były zarówno Żydówki, jak i nie-Żydówki. Nie mogło się obyć bez tarć. Na przykład, niektóre Polki, nie-Żydówki, dostawały czasami paczki od swoich rodzin. Była to osobna grupa więźniarek. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiło na nas jedzenie, a jeszcze bardziej jego zapach. Nie było powodu, żeby oczekiwać, że zawartością swojej paczki podzielią się z którąkolwiek.

Otrzymywanie paczek miało nie tylko znaczenie fizyczne: oznaczało dodatkowe środki żywności. Jeszcze ważniejszy był moment psychologiczny. Dla nas, Żydówek, pozbawienie możliwości otrzymywania paczek podkreślało fakt, że byliśmy całkowicie odizolowane od świata zewnętrznego i nieodwołalnie pozostawione swojemu losowi – *via* komin. Ale ta izolacja rodziła również poczucie bycia razem, w tym samym „bagnie”. Stąd brały się trwałe przyjaźni pomiędzy wieloma z nas. Trudno nie docenić tego wzajemnego wsparcia, jakiego sobie udzielałyśmy. Myślę, że nawzajem, jedna wobec drugiej, przyczyniłyśmy się do swojego przetrwania.

Przyglądałyśmy się jedna drugiej i terroryzowały te, u których pojawiały się pierwsze objawy zaniedbania higieny osobistej. Nie zapomnę tego, kiedy byłam chora na żółtaczkę. Nie jestem pewna, czy to było w Auschwitz, czy w Belsen. Już nie mogłam patrzeć na zupę z brukwi i moje przyjaciółki w naturalnym odruchu wyławiały kawałeczki ziemniaków, jakie mogły znaleźć w swoich zupach, i zbierały je razem, żeby mi je dać. Niełatwo dziś ocenić, co to wtedy dla mnie znaczyło. Rezygnacja z odrobiny kartofla było wielkim wyrzeczeniem. Większość z nas, instrumentalistek z orkiestry, którym dane było przeżyć, utrzymała potem kontakty przez te wszystkie lata, które minęły od czasu wojny. A to mówi samo za siebie.

Spotkałam przed kilku laty, po raz pierwszy po 1945 roku, moją wielką przyjaciółkę Hildę Grünbaum, która była kopistką w naszym zespole. Czuliśmy się obydwie tak, jakbyśmy się nigdy nie rozstawały. Utrzymuję też regularny kontakt z Hélène „la grande”, która mieszka teraz w Brukseli; Fanny zmarła niestety przed kilkoma laty. Obydwie bardzo nam, mnie i Renacie, później pomogły. Przyjaźnię się z Violette, Francuzką, którą widuję częściej może niż inne z nas. Cieszę się, że mam nadal kontakt z dwiema Polkami, członkiniami orkiestry, Heleną i Zofią. Spotkałyśmy się we wrześniu 1994 r. w Krakowie. Choć przeszkadzały nam trochę bariery językowe, rozmawiałyśmy mimo to bez cienia nieufności, i udało się nam nawiązać kontakt bliski i serdeczny.

Wiele z nas już zmarło od czasu wyzwolenia, ale myślę o nich nadal z wielkim uczuciem. Chcę przez to powiedzieć, że w przeciwieństwie do obrazu orkiestry obozowej pokazanego w filmie Arthura Millera, dramaturga amerykańskiego, nie byłyśmy grupą mściwych, niesfornych dziewcząt, które przy każdej sposobności oszukiwały i okradały jedna drugą. Wprost przeciwnie: niezależnie od różnic charakteru i różnic pochodzenia byłyśmy bardzo pozytywną małą wspólnotą, której udziałem było marne życie i widoki na marny koniec. To, co było w nas dobrego, to wzajemna troska, ciepło i przyjaźń. Zacytuję fragment listu Fanny Kornblum napisanego po francusku przed kilku laty:

Noszę w sobie cudowne wspomnienie wzajemnego zrozumienia, panującego wśród nas. W szczególności pamięć tych drobnych gestów, którymi dodawałyśmy sobie odwagi, żeby przetrzymać; nadziei, którą dzieliłyśmy się, kiedy żadnej nadziei już nie było, wspólnie jedzonego chleba. Pozostałyśmy ludźmi, i dla kogoś, kto musiał przeżyć to życie obozowe, zachowanie godności było już wielką sprawą. Jestem dumna, że mogłam być muzykiem tej orkiestry. Moim zdaniem wszystkie byłyśmy wzajemnie odpowiedzialne za to, co robiłyśmy .

Słowa te mówią same dla siebie. Szkoda, że inny uczestnik naszej orkiestry obozowej, Fania Fénelon, stworzyła tak mylne wrażenie na temat tej orkiestry, pisząc swoje pamiętniki, które potem posłużyły za kanwę dla filmu ze scenariuszem Arthura Millera. Z powodów sobie tylko znanych poprzestała na niedorzecznych przeinaczeniach prawdy o praktycznie każdej z nas, która była uczestniczką tego dramatu.

Kiedy wydarzenia przez nią opisywane miały w rzeczywistości miejsce, Fania była cenionym członkiem naszej wspólnoty. Nikt z nas nie może przypomnieć sobie niczego, co by jej można było zarzucić. Hélène „la grande” na przykład, podówczas jeszcze bardzo młoda (miała szesnaście czy siedemnaście lat), pamięta, jak Fania opowiadała jej bajki, żeby choćby na chwilę pozwolić jej zapomnieć ponurą rzeczywistość.

Fania była od większości z nas o kilka lat starsza. Była w naszej orkiestrze jedną z niewielu wykształconych muzycznie. Nigdy nie zapomnę wieczoru, kiedy grałyśmy w Auschwitz muzykę kameralną. Fania miała fenomenalną pamięć muzyczną i przetranskrybowała z pamięci *Sonatę Patetyczną* Beethovena na kwartet smyczkowy. Zagrałyśmy ten utwór któregoś wieczoru. Być może nie brzmiało to nadzwyczajnie. Ale to była muzyka kameralna w Auschwitz! Potrafiłyśmy wznieść się ponad piekło Auschwitz do sfer, których nie dotykała degradacja życia w obozie koncentracyjnym. Jedna z moich przyjaciółek przypomniła mi, że podczas tego wieczoru padły jakieś antysemityczne słowa. Nie pamiętam tego. Prawdopodobnie wołałam o tym zapomnieć.

Alma zmarła 4 IV 1944 roku w bloku numer 4. Wiele plotek krążyło na temat jej śmierci. Mówiło się zwłaszcza, że została otruta przez kapo komanda „Kanada”, panią Schmidt, którą Alma odwiedziła wieczorem przed dniem swojej śmierci. Tak jak większość z nas, byłam w tej kwestii

innego zdania. Zabrano ją na rewir, gdzie zmarła kilka dni później. Pamiętam, jak Alma skarżyła się na bóle głowy tak silne, że aż osłabiały jej wzrok. Byłyśmy przekonane, że zmarła na zapalenie opon mózgowych. Byłyśmy wszystkie bardzo przygnębione i czułyśmy się niepewnie.

Wpadła mi niedawno w ręce książka zatytułowana *Elf Frauen. Leben in Wahrheit: Eine Ärztin berichtet aus Auschwitz Birkenau 1942 – 1945* (*Jedenaście kobiet. Życie w prawdzie: Raport lekarki z Auschwitz Birkenau 1942 – 1945*). Autorką książki jest dr Margita Schwalbová. Dr Schwalbová była najwyraźniej przyjaciółką Almy i była przy niej, kiedy Alma umierała. Ale i ten tekst nie podaje przekonująco, co było przyczyną jej śmierci, chociaż mowa jest tam o zatruciu alkoholowym. To, że Alma musiała zostać poddana specjalnemu leczeniu, wydaje się potwierdzać fakt, że wszystkie zostałyśmy wezwane na rewir, gdzie przedefilowałyśmy obok jej martwego ciała, ułożonego na białym płótnie. Również esesmani wydawali się przygnębieni.

„Niepewnie” może się wydać jeszcze jednym niedokładnym słowem. Ale kiedy Almy już nie było, czułyśmy, że to ona była orkiestrą. Ona trzymała wszystkie razem. Utrzymywała kontakt z „drugą stroną”, tzn. z władzami obozu, takimi jak Mandel czy Drechsel po to, żeby uzyskać dla nas między innymi dodatkowe racje żywnościowe. Ale co ważniejsze, wraz ze zgonem Almy zostałyśmy pozbawione kierownictwa w sensie o wiele głębszym. Nadal wychodziłyśmy dwa razy dziennie do bramy głównej, żeby grać nasze marsze, ale kiedy wracałyśmy do bloku, żeby zrobić próbę starego czy nowego repertuaru, odczuwałyśmy dojmująco jej brak.

Jedną z naszych koleżanek była Rosjanka Sonia. Przystojna dziewczyna, śpiewała i grała na pianinie, ale talent do muzyki miała mierny. Była ulubienicą SS, dlatego została mianowana następczynią Almy. Ale nikt jej nie respektował i w orkiestrze każdy robił, co chciał. Poziom kapeli obniżył się znacznie i pod każdym względem.

Wkrótce po tym kryzysie zaczęły przyjeżdżać większe transporty Żydów z Węgier. Był maj 1944 r. Do obozu przywieziono ich wiele tysięcy². Maszyna śmierci nie była w stanie podołać temu zadaniu: gazować, mordować, palić. Krematoria pracowały przez całą dobę. W końcu wrzucano do ognia żywych ludzi. SS było w stanie zgładzić 24 tysiące ludzi dziennie.

Wraz z tymi transportami przybyło trochę nowych muzyków, którzy dołączyli do naszej orkiestry. Nie pamiętam wszystkich nazwisk, ale jedną z nich, tych które przeżyły, była Eva Steiner,

² Żydów węgierskich w okresie od maja do lipca przywieziono około 400.000.

a przede wszystkim Lilly Mathé. Lilly była skrzypaczką, która przed wojną w zespole dzieci cygańskich odbywała podróże artystyczne po całym świecie i była bardzo znana. Była osobą niezwykłą, było w niej ciepło i szlachetność. Jej udział w naszej orkiestrze był bardzo ważny. Zaczęliśmy grać dużo muzyki węgierskiej, takiej jak *Czardasz* Montiego i in. Udało się jej przedłużyć nieco zainteresowanie SS orkiestrą. Ale Almy zastąpić nie mogła.

Nie miałyśmy prawie żadnych wiadomości o tym, co się dzieje na zewnątrz obozu i nie domyślałyśmy się nawet, jaki jest przebieg wojny. Żyłyśmy z dnia na dzień, próbując tylko odgadnąć, jak długo jeszcze. Aż któregoś dnia, było to chyba w końcu października 1944 roku, wydawało się, że następuje kolejny kryzys. Kazano nam stanąć w szeregach: Żydówki po jednej stronie, Aryjki – po drugiej. To mogło znaczyć tylko jedno: komory gazowe.

Bardzo chciałam skontaktować się z Renatą, żeby wiedziała, co się dzieje. Wkrótce dotarła do nas wiadomość, że nie chodzi o gaz. Miałyśmy być przeniesione do innego obozu. To może wydać się dziwne, ale wszystkie myślałyśmy, że to był cud. Nikt nie chciał wierzyć, że opuścimy Auschwitz przez główną bramę. Byłyśmy błogo nieświadome tego, co nas jeszcze czeka.

Po pierwsze musiałyśmy zdjąć nasze ubrania i dostałyśmy inne. Do tego czasu każdej z nas udało się zorganizować sobie jakieś znośne ubranie. Teraz miałyśmy się ich pozbyć i dostałyśmy z przydziału prawdziwe okropieństwa, zupełnie nieodpowiednie do pory roku. To był sygnał, że nasz „uprzywilejowany” czas dobiegł końca. Udało mi się tylko zachować mój czerwony sweter, który miałam na sobie aż do momentu wyzwolenia.

Jakimś sposobem Renata musiała się dowiedzieć o tych zmianach dotyczących orkiestry i nagle się pojawiła. Jeszcze raz groziła nam rozłąka. Myśl o rozstaniu była dla nas obydwu niewyobrażalna i dlatego rzeczą najnormalniejszą w świecie było, że Renata po prostu do nas dołączyła. Nikt jej tego nie zabronił. Wpakowałyśmy się do samochodu ciężarowego służącego do przewożenia bydła i wyruszyłyśmy w drogę, nie mając pojęcia dokąd.

Z piekła do piekła: Nasza cudowna ucieczka do Belsen

Wiem teraz, choć nie wiedziałam tego wtedy, że front rosyjski zbliżał się szybko od Wschodu i że nasza ewakuacja stanowiła część planu niemieckiego pozostawienia jak najmniejszej ilości śladów, które Rosjanie mogliby wykorzystać jako dowody. Nie mogłam pojąć, dlaczego tego właśnie dnia postanowili powlec nas w poprzek Europy, kiedy mogli przecież z łatwością wpakować nas do komór gazowych.

Droga prowadziła na Zachód. Plotki krążyły – a plotek tam nigdy nie brakowało - że przewożą nas do „obozu wypoczynkowego” (*Erholungslager*) i że ten obóz nazywa się Bergen-Belsen. Nikt nigdy nic o nim nie słyszał (...) Jedyne, co wiedziałyśmy, to to, że oto oddaliśmy się od Auschwitz i jego komór gazowych. Dlatego byliśmy „szczęśliwe”, jeśli wolno użyć tego słowa. (...)

Belsen nie miało odpowiedniego wyposażenia, żeby dać sobie z czymkolwiek radę, a już najmniej z ludźmi chorymi czy umarłymi. Nie było tam „urządzeń”, które były w Auschwitz, gdzie ciała można było stosunkowo łatwo „przerobić”. Auschwitz było miejscem, gdzie ludzi *mordowano*, Belsen miejscem, gdzie ludzie *ginęli*. Kiedy przed nadejściem wojsk alianckich obszar „wspaniałych Niemiec” kurczył się coraz bardziej, coraz więcej ludzi przybywało do Belsen. Obozy z terenu całych Niemiec były opróżniane, próbowano zatrzeć wszelki ślad. Tysiące więźniów było w drodze.

Marsze śmierci zostały zapisane na taśmie filmowej, ale przerażające było widzieć na żywo tych biednych ludzi, posuwających się naprzód dosłownie na kolanach. Nie trzeba dodawać, że więźniowie, bardziej umarli niż żywi, którym udało się dotrzeć do tego obozu, uważali się za szczęśliwych. Tysiące ich zostało na skrajach dróg.

Fragmety książki Anity Lasker-Wallfisch *Inherit the Truth 1939 – 1945*, Chapt. (Rozdz.) 5 ‘Voluntary’ Transfer to Auschwitz (‘Dobrowolna’ deportacja do Auschwitz), chapt. (rozd.) 6 *Music for the inferno* (Muzyka dla piekła), chapt. (rozd.) 7 *From hell to hell: Our miraculous escape to Belsen* (*Z piekła do piekła: Nasza cudowna ucieczka do Belsen*), Giles de la Mare Publishers Limited, 53 Dartmouth Park Hill, London NW5 IJD, “The Documented Experiences of a Survivor of Auschwitz und Belsen”, London 1996, 1998, 2000, 2005, pp. (s.) 71 – 87. Przekład na podstawie angielskiego i niemieckiego wydania książki: Antoni Buchner. Republika dzięki uprzejmości Autorki.